

# Szepty, krzyki i emocje



ADM - RYSZARD OKONSKI

*Opole, 1978*

**N**a próbie koncertu w Opolu poprosiłam Marylę Rodowicz: „Czy mogłabym zaśpiewać za Ciebie refren: »Dziś prawdziwych Cyganów już nie ma«”? Bez słowa dała mi mikrofon. Szczęśliwa zaśpiewałam na cały amfiteatr. Kiedy skończyłam, Maryla wzięła ode mnie mikrofon i spokojnym głosem podsumowała: „Krzyczała Krystyna Janda”. To moja ulubiona recenzja krytyczna – opowiada aktorka.

Mimo sukcesów śpiewanie Krystyny Jandy budzi wiele kontrowersji. „Czy ta wielka aktorka musi śpiewać?” – pytają przeciwnicy. W przyszłym tygodniu w Teatrze Powszechnym usłyszymy w jej wykonaniu piosenki z repertuaru Marleny Dietrich.

*Rozmowa z Krystyną Jandą  
i opinie o jej śpiewaniu na stronie 6*

# Szepty, krzyki i emocje

Rozmowa z Krystyną Jandą

**S**piewanie Krystyny Jandy budzi kontrowersje. Jedni szaleją na jej koncertach, biją się o autografy i placzą, słuchając jej płyt. Inni wzduszają ramionami albo grymaszą: „czy ta wspaniała aktorka musi koniecznie śpiewać?”

W przyszłym tygodniu mamy okazję zobaczyć w Teatrze Powszechnym kolejne wcielenie Jandy śpiewającej. W jej wykonaniu usłyszymy piosenki z repertuaru Marleny Dietrich. Przedstawienie „Marlene” według sztuki Pam Gems w reżyserii Magdy Umer miało premierę na ostatnim Przeglądzie Piosenki Aktorskiej we Wrocławiu. W Warszawie pokazane zostanie po raz pierwszy.

**DOROTA WYŻYŃSKA: Czy pamięta Pani najbardziej oryginalny komplement, który wiązał się z Pani śpiewaniem?**

KRYSZYŃSKA: Pewnego dnia po koncercie podszedł do mnie mężczyzna i bez wahania wyznał: „Dziś zrozumiałem, kim pani jest”. Byłam zaniepokojona.

– „No i co pan rozumiał?” – zapytałam odważnie.

– „Że jest pani rozkosznie wyemancypowana”. Zaniemówiłam. Nie sądziłam, że kiedyś dane mi będzie usłyszeć coś równie niekonwencjonalnego i w dodatku, że można to odczytać z mojego śpiewania. Do dziś nie daje mi spokoju, co tak naprawdę miał na myśli. Wyemancypowana? Ale dlaczego rozkosznie? Często słyszy Pani uszczypliwe uwagi na temat Jandy śpiewającej?

– Kiedyś zadzwoniła do mnie pewna kobieta: – Błagam, ja panią kocham, ale niech pani nie śpiewa – prosiła miło. – Dlaczego? – zapytałam. – Bo mi się tak nie podoba, jak pani śpiewa – odpowiedziała wprost. Próbowałam być uprzejma. – A kto się pani w takim razie podoba? – Eleni... – powiedziała krótko. – A to przepraszam – wycofałam się.

Na próbie koncertu w Opolu poprosiłam Marylę Rodowicz: – Czy mogłabym zaśpiewać za ciebie referen „Dziś prawdziwych Cyganów już nie ma”? Bez słowa dała mi mikrofon. Szczęśliwa zaśpiewałam na cały amfiteatr. Kiedy skończyłam, Maryla wzięła ode mnie mikrofon i spokojnym głosem podsumowała: – „Krzychała Krystyna Janda”. To moja ulubiona krytyczna recenzja.

## O Jandzie śpiewającej

**MARIA SEWERYN:** Uwielbiam, kiedy śpiewa, a w „Marlene” moim zdaniem przeszła samą siebie. Chwilami jej nie poznaję: zmienia głos, sposób zachowania. Kiedy staje na scenie z mikrofonem, bije z niej wspaniały spokój – bardzo to lubię. A jednocześnie mało kto potrafi dać z siebie tyle ekspresji. Zresztą ona przecież nie tylko śpiewa, dopowiada coś szeptem, po chwili krzyknie.

W domu nie śpiewa. Jest osobą, która przy najbliższych stara się uwolnić od roli. Ale nigdy nie zapomnę naszych dawnych podróży samochodem – mama śpiewała na cały głos.

**ANDRZEJ STRZELECKI:** Jest świadoma swoich możliwości warsztatowych, nie porywa się przecież na „Toskę”. Krystyna Janda jest wielką aktorką – samo pojawienie się na scenie takiej osobowości jest dla mnie interesujące. Kiedy przychodzi na jej koncerty czy spektakle muzyczne, nie zastanawiam się nad stroną techniczną jej śpiewania.

Krystyna wie, jak ważne jest porozumiewanie się z publicznością poprzez muzykę. Chce być aktorką skuteczną.

Czy po kaśliwych recenzjach, bo takie też się zdarzały, myślała Pani, że by skończyć ze śpiewaniem?

– Uwielbiam śpiewać. Przez pewien czas mówiłam: trudno, nawet jeśli niektórzy tego nie lubią, to zaśpiewam, póki choć jeden człowiek siedzi na widowni. Ale przyznam się, że za każdym razem mam pewnego rodzaju poczucie winy – po sukcesie w Opolu, kiedy wystąpiłam z „Gumą do żucia”, taktownie przez jakiś czas nie śpiewałam.

Z drugiej strony skończyłam szkołę muzyczną, przez 11 lat grałam na fortepianie i... wiem, co robię. Ale widocznie coś w tym musi być, że od 20 lat mimo wyraźnych sukcesów muszę się tłumaczyć ze swoich wokalnych występów, nawet teraz przed panią. Trudno.

Moje dzieci też nie znoszą mojego śpiewania. Jak tylko zaczynam coś nucić, proszą, błagają: „mamo, przestań”. Inna sprawa, że w domu najczęściej śpiewam sentymentalne, banalne kawałki. Bardzo często nęcę też koledzy.

Aleksander Bardini, który był moim profesorem „od piosenki” w PWST, zawsze mnie chwalił. Na egzaminach z piosenki odnosiłam największe sukcesy i zawsze powtarzałam – nie jest moim celem ściganie się z instrumentem, od tego są wokaliści, dla mnie najważniejsze jest słowo. Ale może to za mało.

Podczas jednego z koncertów we Wrocławiu – czego nie omieszkala odnotować prasa lokalna – zapomniała Pani tekstu znanej piosenki „Ogrzej mnie”. Ponoć Wiktor Zborowski powiedział wtedy: „Pierwszy raz nie zadroszczył, że nie jestem Jandą”. Inne osoby komentowały: „To wszystko zapewne wyreżyserowane”. A jak się Pani wtedy czuła?

– Fatalnie. Zapomniałam tekstu piosenki, którą znam świetnie. Na domiar złego orkiestra grała bardzo poważny, pompacyjny wstęp. Grała go cztery razy. Stałam bezradna w ekstrawaganckiej sukni, co musiało potęgować groteskowość. Nagle, kiedy byłam już gotowa skapitulować, przypomniało mi się, że tekst zapisany na kartce mam w kieszeni. Zaśpiewałam tę piosenkę z kartki. Publiczność w sposób niezwykle nagrodziła mój upór, to, że nie ustąpiłam z placu boju. Takie brawa dostalam może dwa razy w życiu: raz, kiedy przewróciłam się w ukłonach po „Balu manekiniów” i wtedy we Wrocławiu.

Śpiewanie jest dla niej jednym ze sposobów rozmowy z widzami.

**CZESŁAW NIEMEN:** Muszę przyznać, że nie gustuję w piosence aktorskiej i nie mam zbyt wiele do powiedzenia na ten temat. Niestety, nie widziałem Jandy w „Białej bluzce” ani w „Kobiecie zawiedzionej”, ale doskonale pamiętam jej występ w Opolu, kiedy śpiewała „Gumę do żucia”. Myślę, że najbardziej charakterystyczną cechą jej śpiewania jest ekspresja, niepochwytana, niebywała ekspresja. Za to ją podziwiam. Nie ma nic gorszego niż wykonawca bez wyrazu, a tego o tej aktorce nie można powiedzieć...

**PIOTR MACHALICA:** Piosenki w jej wykonaniu mogą się podobać, mogą się nie podobać – to sprawa wrażliwości. Krycia śpiewa szalenie osobiście. W moim odczuciu – pięknie. Jej zaangażowanie w wykonanie utworu wodzi mnie. Ktoś powie, że śpiewa nieczysto – myślę, że w tym wypadku nie ma znaczenia, czy czysto, czy nieczysto. Ona potrafi uchwycić istotę tego, co zostało zawarte w tekście, a jest to szalenie trudne.



Krystyna Janda śpiewa „Gumę do żucia” – Opole 1978 rok

Starannie dobiera Pani swoje piosenki: wspaniali tekściarze, wielcy kompozytorzy. Co musi mieć w sobie piosenka, na którą się Pani decyduje?

– Przy doborze piosenek zdaje się wyłączać na Magdę Umer. To ona decyduje, z jakimi muzykami mam pracować, jakie wykorzystamy aranżacje, kto zrobi przekłady i jakich piosenek. Całkowicie zdaje się na jej gust muzyczny i literacki. Przy „Marlenie” po raz kolejny uwierzyłam Magdzie i znowu jestem jej wdzięczna.

Magda nie skorzystała z piosenek wybranych przez autorkę sztuki „Marlene” Pam Gems, ale poszła za moją miłością do Dietrich. Stwierdziła, że powinienem zaśpiewać swoje ukochane piosenki Błękitnego Anioła.

Co takiego musi być w piosence, żeby stała się przebojem, żeby publiczność ją pokochała? Nie wiem, czy ktośkolwiek zna odpowiedź na to pytanie. Dlaczego przebojem stała się „Guma do żucia”? Nie potrafię powiedzieć, może dlatego, że zaśpiewałam ją siedem razy szybciej, niż była napisana.

**Wyobraź Pani sobie spektakle: „Biała bluzka”, „Kobieta zawiedzona”, „Marlene” bez piosenek?**

– Nie. Kiedy pierwszy raz przeczytałam „Białą bluzkę”, bez skrupowania powiedziałam Agnieszce, że to się nadaje do radia, ale nie na scenę. Moim zdaniem piosenki zastąpiły tam prawie nieistniejącą dramaturgię i uzupełniły rysunek psychologiczny postaci. Z kolei piękno przekładów, czy raczej nowych tekstów piosenek napisanych do „Kobiet zawiedzionych” przez panów Przybora i Młynarskiego, nie tylko stało się wielką wartością, ale pozbawiło tę historię taniego melodramatycznego sosu. Sztuka „Marlene” jest, jak myślę, napisana z powodu piosenek, czy jakby dopisana do piosenek, które śpiewała Dietrich. I tym razem przekład czy tekst Wojtki Młynarskiego daleko przetrasują oryginalne, które nigdy nie były tłumaczone i są właściwie nieznanne w Polsce.

**O głos trzeba dbać. Ma Pani swoją metodę pielęgnacji głosu: surowe jajka, siemię lniane, częste wizyty u foniatry?**

– Prawdziwe kłopoty z głosem miałam właściwie tylko raz. Wiele lat temu we Wrocławiu śpiewałam „Judyte” Gintrowskiego – bisowałam wielokrotnie i całkowicie straciłam głos. Następnego dnia dyrektor Zygmunt Hübner musiał odwołać przedstawienie z moim udziałem i wywiesił w teatralnej gablocie naganę za nieprofesjonalne zachowanie oraz nakaz zapłacenia kary pieniężnej.

To prawda – nie dbam o głos, nie oszczędzam się. Przyznam się, że lubię swój głos trochę chory, trochę zmęczony. Jest wtedy dużo bardziej plastyczny, a Fedra bez chyry i załamania jest trochę gorszą rolą. Śpiewanie do mikrofonu nie kosztuje tak dużo, co np. granie Callas dwa razy dziennie w sali dla tysiąca osób, co mi się zdarza. Po czterech takich dniach zawsze trafiam na ostry dyżur do foniatry, żeby następne przedstawienia mogły się odbyć. I mimo że lekarze każą mi przestać grać, nigdy nie odwołam z tak błahego powodu przedstawienia, choć wszyscy dookoła pukają się w głowę.

**Skąd bierze się tęsknota aktora dramatycznego do śpiewania?**

– Śpiewając, zdarzyło mi się osiągnąć cel najwyższy – sala oszalała. Udało mi się rozpaść w otwarte takie emocje, których nigdy nie widziałam w teatrze dramatycznym. Po zagranii żadnej roli nie usłyszałam tylu ciepłych słów. Są wiersze, których nie jesteśmy w stanie przeczytać, bo w te słyszymy już muzykę. Nie umiem przeczytać: „Mimozami jesteś się zaczyna”, bo zaraz zaczynam to śpiewać.

A poza tym aktorzy uwielbiają mikrofon. Śpiewanie to jedynie alibi, usprawiedliwienie. Nagle za pomocą techniki stają się supermanami. Ta siła, która jest w mikrofonie, jest porażająca. Zaczynamy fruwać. Mówię szeptem, a słyszy mnie kilka tysięcy osób. Szeptem śpiewam od niedawna. To Magda Umer tłumaczy mi, że śpiewać głośno każdy głupi potrafi, że intymne śpiewanie jest piękniejsze i trudniejsze. To ona i „Kobieta zawiedzona” zmusiły mnie do szeptu przez mikrofon, mój temperament zawsze niósł mnie do „Gumy do żucia”.  
Rozmawiała DOROTA WYŻYŃSKA

### CZY CZUJE PANI CZA-CZE?

Jethro Tull „J-tull dot com” \*\*\*\*  
Papillon/Metal  
Mind Records 1999

Rock ma krótką pamięć. To chyba dobrze. Każdy wykonawca, który nie tworzy czegoś nowego, automatycznie trafia na półkę z napisem „dinozaur”. Jest spychany na margines przez nowe zespoły, nowe przeboje, nowe trendy muzyczne. Zdarzają się jednak wyjątki.

Jethro Tull ma w Polsce szczególną pozycję. Dowodzą tego ich koncerty, które zawsze cieszyły się wielkim zainteresowaniem fanów. Za granicą, a nawet w rodzimej Wielkiej Brytanii, są już zdecydowanie na marginesie historii rocka. W Polsce – ciągle jeszcze zespołem bardzo istotnym.

Może dlatego, że kiedy zespół należał do ścisłej światowej czołówki (to znaczy na początku lat 70.), Polska odłączona była od ogólnoświatowego obiegu kultury masowej. Nie wychodziły u nas ani ich płyty (poza „Stormwatch” już w latach 80.), ani nie odbywały się koncerty. Nic więc dziwnego, że kiedy w latach 90. zaczęli do Polski przyjeżdżać, ich twórczość spotkała się z takim zainteresowaniem.

Jethro Tull ciągle jest czynnym zespołem i oprócz grania retrospektywnych koncertów nagrywają nowe płyty. Właśnie ukazał się ich nowy krążek.

Każdy zespół, który okres artystycznej świetności ma już za sobą, nagrywając nowy album, musi podjąć trudną decyzję. Albo, skazując się na granie muzyki archaicznej, nagrywa płytę w stylu lat swojej świetności, jakby czas w ogóle nie mijał, albo nagrywa płytę nowoczesną, starając się ściagać aktualne muzyczne mody i narażając się na zarzuty o koniunkturalizm, odrzucenie przez starych fanów, czy wręcz nieuczynną pomyłkę.

Jethro Tull wybrał drogę dosyć zaskakującą. Zarówno kompozycje, jak i brzmienia i instrumentacje wskazują na nawiązanie do tradycyjnych kompozycji zespołu. Nie było to trudne, bo ich muzyka, z charakterystycznym głosem Iana Andersona, wiodącym brzmieniem jego fletu oraz jakby barokowymi kompozycjami umieszczonymi w rockowych ramach aranżacyjnych – należała do najbardziej oryginalnych i charakterystycznych w historii rocka.

Na to, że jest to płyta nagrana w roku 1999, wskazują natomiast teksty. Już sam tytuł płyty „J-tull dot com” wskazuje np. na fascynację Internetem, a tytuł jest adresem ich oficjalnej strony internetowej – j-tull.com. Do tego też nawiązuje tytułowy „Dot Com”. Jest tu też krótki utwór zatytułowany „Nothing @ all”.

Oczywiście nie oparłem się pokusić, aby zajrzeć na stronę <http://www.j-tull.com>. Strona jest niezwykle bogata, profesjonalnie wykonana i po prostu lepsza niż w innych zespołów. Zawiera historię grupy, fragmenty nowego albumu i masę innych rzeczy.

Adresy stron internetowych znajdują się na płytach niemal wszystkich zespołów, ale takie wyeksponowanie oficjalnej strony internetowej jest świetnym pomysłem na promocję albumu. To nowa jakość na rynku płytowym i pierwsza tego typu inicjatywa od czasu umieszczenia na płycie CD fragmentów do odczytania na komputerze. Dziwne, że takim innowatorem są takie, przepraszam za wyrażenie, dinozaury!

ROBERT LESZCZYŃSKI

Płyty oceniamy tak jak w szkole – od \* do \*\*\*\*\*